

I. 605.459/4/1
ZAJMUJĄCE CZYTANKI PRZYRODNICZE

Nr. 4

ERNEST SETON | THOMPSON

ŚPIEWAK ULICZNY

PRZYGODY WRÓBLA GRZMOTKA



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

KONIGS JAT LADU
WARSZAWA

Przykład: 10.10.1914

Nakład: 4300 egz.

dnia: 20. II 31

ZAJMUJĄCE CZYTANKI PRZYRODNICZE Nr. 4

ERNEST SETON THOMPSON

ŚPIEWAK ULICZNY

PRZYGODY WRÓBLA GRZMOTKA

PRZETŁUMACZYŁA

MARJA ARCT-GOLCZEWSKA



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



I. 605.459 | 4

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

PRZYGODY WRÓBLA GRZMOTKA

I.

Cóż to za gromada świergocących, piszczących i trzepocących się istot skrzydlatych unosi się nad ulicą? A — to kilkanaście zwyczajnych wróbli robi tyle hałasu. Frunęły na komin i tutaj jeszcze bardziej hałaśliwie wydają dźwięki.

Czegoś się one sprzecają ze sobą. Już dochodzi nawet do bójki...

Wśród tej gromady walczy szczególnie zajądło jeden wróbelek, zadając naokoło ciosy swym małym dziobkiem natrętnym napastnikom.

Zapewne to samiczka, o którą walczą młodzi wróbelkowie. Każdy chciałby ofiarować jej swą miłość, ale ona niewzruszona odpycha wszystkich i wreszcie udaje jej się wydostać z gromady; z triumfującą miną siada na rynnie sąsiedniego domu. Gdy lecąc, rozpostarła szeroko skrzydełka, na jednym z nich ujrzałem kilka białych piórek. Zapewne była to jej ozdoba, którą zwróciła uwagę towarzyszy. Ja zaś nazwałem ją dla tej odznaki — Białką.

II.

Dumny ze swej czarnej krawatki i białego kołnierzyka, pewien wróbelek skakał wesoło wokoło drewnianej budki, którą dzieci przybiły do słupa. Chciał on tam widocznie zbudować sobie gniazdko. Znosił więc skrzętnie rozmaity materiał budowlany, po który latał do sąsiedniego ogrodu. Dziwny był to ptaszek. Zbierał wyłącznie cienkie gałązki i drewnienka i wnosił je do tego domku przez cały dzień, a tylko wczesnym rankiem przerywał sobie robotę na krótką chwilę; śpiewał wtedy tak głośno i dźwięcznie jak kamarek.



Że wróbel buduje sobie sam gniazdo, jest to rzecz niebywała, ale był to, jak mówiłem, ptak niezwykajny.

Po tygodniu skończył swą robotę, wypełniwszy domek aż po brzegi gałązeczkami. Potem siadł zadowolony przy bramie swego państwa i wyśpiewywał dzień cały, wprawiając w podziw i zdumienie przechodniów i mieszkańców sąsiednich domów. Prawdopodobnie powstałaby, wskutek jego dziwnego zachowania się i osobliwego śpiewu, jaka historyczna legenda, gdyby

nie zdradził tajemnicy tego ptaszka pewien felczer, wielki amator ptaków, który opowiedział nam dzieje jego dzieciństwa.

Oto pan ten, znalazłszy jajko wróbla, włożył je do gniazdka kanarków; samiczka siedziała na nim, dopóki nie wylął się z niego wróbelek, którego wychowaniem zajęli się gorliwie przybrani rodzice. Głównem zajęciem kanarków w klatce był śpiew — a że mały ptaszek posiada płuca mocne, wkrótce więc ukończył tę szkołę śpiewu i stał się śpiewakiem, który brak talentu zastępował siłą i zapalem.

Równie silny i wojowniczy, jak muzyczny, stał się niedługo piękny wróbelek panem klatki. Gdy bowiem nie mógł zwyciężyć swych rodziców śpiewem, używał do pomocy siły skrzydeł, tak że musiano go umieścić w osobnej klatce.

Nazwano go „Grzmotkiem“.

Gdy właściciel jego chciał go pobudzić do śpiewu, umieszczał w klatce wypchanego kanarka, a nad tym towarzyszem wróbelek naturalnie odnosił zwycięstwo, popisując się swym talentem śpiewu. Nic bardziej nie mogło rozgniewać uwięzionego ptaszka, jak zbliżenie się do klatki jego jakich innych skrzydlatych śpiewaków, których felczer dużo posiadał, a których wróbel siłą swą poprzez druty klatki nie mógł zmusić do milczenia. Umieszczony zdala od kanarków, wkrótce zapomniał on prawdziwych ich treli, i wtrącał do śpiewu swe zwykłe wróblowate

„czirip-czirip“, którym odznaczali się jego krewniacy z ulicy.

Pewnego dnia zdarzył się wszystkim ptaszkom u felczera przykry wypadek. Oto obsunęła się deska, na której stały klatki, i wszystkie spadły na ziemię — drzwiczki pootwieraly się i wiele ptaszków wyfrunęło. Kanarki wróciły same do klatek, albo dały się złapać z łatwością. Grzmocik zaś, odziedziczywszy widać po swych prawdziwych rodzicach umiłowanie swobody, uciekł przez otwarte okno, i na żadne wołanie swych wychowawców nie zwracał najmniejszej uwagi. Zaświergotawszy po wróblemu, przyłączył się zaraz do gromady wróbli na dachu i jakgdyby był z nimi wychowany, nie ustępował im w niczem. Czasami jednak przypominał sobie swą sztukę i z energją wróbla wyśpiewywał trele kanarka.

III.



Był to ten sam ptaszek, który wynalazł sobie ów domek na gniazdko i teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego zbudował je z patyczków. Jedynie bowiem gniazdo, które znał i w którym się wychował, było zrobione z gałązek wierzbowych, co dla niego wyglądało jak patyczki.

Zostawiliśmy naszego wróbelka siedzącego na deseczce przy swym domku i wydzwaniającego trele, tak jakby wzywał czy zapraszał kogo do podziwiania swego dzieła. W parę dni potem znikł i wkrótce powrócił z towarzyszką. Była nią Białka, z którą zapoznałem się przy owej awanturze na kominie. Nie odrazu siadła ona przy swym towarzyszku na deseczce, ale jeszcze czas jakiś trzepotała się, jakby niechętnie; ale Grzmocik tak niestrudzenie i z zapalem występował kanarkowe trele, że wreszcie Białka zdecydowała się z nim pozostać.

Dumny ze swego zwycięstwa, poprowadził ją do gniazda i pofrunął naprzód, by jej drogę pokazać. Weszła za nim do domku, ale po chwili szybko wyfrunęła, a za nią Grzmocik i trzepocząc skrzydełkami, coś jej głośno przekładał i póty pisał i świergotał, aż powróciła. Po chwili jednak wyfrunęła znowu z hałasem i piskiem, poczem widać było, że się czegoś bardzo gniewa.

Wróbel nie dał za wygraną i starał się wszelkimi sposobami zmusić swą towarzyszkę do powrotu. Ta weszła do domku po raz trzeci i wyfrunęła znowu, niosąc w dziobie gałązkę, którą niedaleko domku rzuciła na ziemię i uciekła. Zrozumiałem, o co Białce chodziło.

Grzmocik usiadł zrozpaczony na deseczce. Cała jego mozolna praca została tak haniebnie wydrwiona; jego radość i duma tak zgnębione,

gdy on właśnie liczył na zupełne zadowolenie swej towarzyszki. Żal ścisnął mu serce, siedział więc skulony przede drzwiami i wydawał ciche tony, które brzmiały jakby prośba „powrót, powrót“. Ale żonka jego się nie ukazała.

Po tej cichej rozpaczycy zwrócił się nagle wróbelek do domku i przez dłuższą chwilę dochodziło uszu moich jakieś drapanie i szarpanie. Nagle wybiegł z gałązką w dziobku. Rzuciwszy ją na to samo miejsce, gdzie Białka swoją upuściła, wrócił po drugą, potem po trzecią i tak ciągle, póki wszystkich nie wyciągnął z gniazdka, nawet tę widlastą, którą z takim mozołem pakował do domku poprzednio, i tę gładziutką wierzbową, która mu najbardziej przypominała rodzinne gniazdko. Całą godzinę pracował tak bezustanku, aż utworzył się obok słupa stos patyczków, jakby je dzieci nazbierały na ognisko. Spojrzawszy dzikim wzrokiem na zniweczoną swą pracę dni siedmiu, zaklął po wróblemu i poleciał.



Na drugi dzień wrócił z Białką, kręcąc się koło niej wesoło, tak jak przystało na prawdziwego rycerza, i z miną poddańczą wprowadził ją do domku. Białka spojrzała triumfująco na stos wyrzuconych gałązek, potem weszła do budki, wyniosła z niej jeszcze jedną, widać zapomnianą gałązkę, i rzuciła ją na ten sam stos. Przynajmniej ze dwanaście razy prze-

latywała z domku do stosu i zpowrotem, aż wreszcie zupełnie uspokojona, zaświergotała na znak zgody i oba ptaszki pofrunęły na podwórze sąsiedniego domu. Gdy po chwili wróciły, niosły w dziobku słomę — Białka cały pęczek, a Grzmocik jeden kawałek. Słomę tę ułożyły na dnie domku i poleciały po nową zdobycz, a gdy Białka przekonała się, że jej towarzysz dobrze rozumiał, o co jej chodzi, pozostawiła jemu znoszenie materiału budowlanego, sama zaś zabrała się do ślania gniazdka.

Obserwowałem parkę tę z ogromną przyjemnością i przyszło mi na myśl wypróbować jej upodobania. Powiesiłem więc na sąsiednim balkonie trzydzieści kawałków różnych sznurków i wstążek. Było tam piętnaście zwyczajnych szarych sznurków, osiem kolorowych i siedem jasnych wstążek. Poukładałem je naprzemian — szare z kolorowemi.

Najpierw spostrzegła ten nowy materiał Białka. Siadła na poręczy balkonu i przyglądała się bacznie nieznanym jej kawałkom — to jednym okiem, to drugim, poczem odleciała z niedowierzaniem. Śmielszym okazał się Grzmocik, gdyż sznurki nie były mu obce. Przyfrunął więc blisko i dziobnął jeden kawałeczek. Widząc to, Białka pochwyciła również kawałek i zaniosiła do gniazda. Z początku brali tylko szare kawałki, potem ona zaczęła wybierać barwne, ale przede wszystkim mniej jaskrawe, Grzmocik zaś pozostał tylko przy szarych sznurkach, gdyż

te przypominały mu zapewne najbardziej jego patyczki.

Gniazdo było już prawie gotowe. Grzmocik próbował jeszcze raz włożyć do niego kawałek gałązki, ale musiał ją natychmiast wyrzucić, czemu towarzyszyły triumfujące spojrzenia energicznej żonki. Biedny Grzmocik! Wszystko to, co jemu wydawało się najlepszym, było w jej oczach niczem, wszystkie te ładne patyczki zbierał on napróżno!

Matka jego miała przecież gniazdko plecione z patyczków — było to takie ładne gniazdko — a teraz zostało ono przez towarzyszkę jego wymiane. Tylko siano i słoma i same miękkie materiały miały wypełniać teraz ich mieszkanie.

Życie na swobodzie nauczyło go wiele nowego. Dawniej myślał, że sklep felczera stanowi świat cały, a on był pierwszą i główną w nim istotą — teraz przekonał się, że nie on jest panem ale inna istotka, która nim rządzi i której słucha we wszystkim. Istotka ta musiała być mądrzejsza od niego, bo ciągle uczyła go czegoś nowego, uważając wychowanie jego domowe za niewystarczające.

Gdy gniazdko było na ukończeniu, zaczęła Białka znosić różne miękkie pióra, widocznie była w domu bardzo rozpieszczona. To już było dla Grzmotka za wiele — raz przecież należało położyć koniec tym zbytkom. Postanowił więc posuwać wszystkie naznoszone pióra, bo on ta-



Ptaszki stały naprzeciw siebie z serduszkami przepelnionemi goryczą.

kich nigdy w swej kołysce nie miał, w czasie więc nieobecności żonki powyrzucał białe piórka z gniazda, lecz wśród tej roboty nadleciała Białka. Widząc piórka fruujące w powietrzu, pochwyliła je i podążyła z nimi do domku. W chwili jednak, gdy z piórkami temi stanęła na progu domu, wychodził z niego mąż jej z nowym ładunkiem. Ptaszki stanęły naprzeciw sobie i patrzyły badawczo jedno na drugiego, piszcząc przeraźliwie, z serduszkami przepelnionymi goryczą.

W domowych urządzeniach sympatja nasza jest zwykle po stronie gospodyni. Otóż i teraz byłem zdania, że Białka miała słuszność. No i stało się zadość jej woli!

Z początku słyszałem burzliwą kłótnię, przy czem pióra zostały jedno po drugim wyrzucane z domku i stawały się igraszką wiatru. Potem nastąpiła cisza. Jednak następnego dnia wszystkie pióra zostały napowrót wniesione. W jaki sposób nastąpiła zgoda między ptaszkami — niewiadomo, to tylko widziałem, że Grzmocik sam najwięcej pracował przy zbieraniu piór i nie spo czął, póki całe gniazdko nie zostało niemi wypełnione aż pod daszek.

Przez cały ten czas wróbelki były ciągle razem. Pewnego dnia Białka gdzieś znikła. Grzmocik wyszedł z domku, i nie mogąc się jej doczekać, zaczął nawoływać ją niespokojnymi dźwiękami.

Gdy tak siedział i rozglądał się wokoło, wzrok jego padł nagle na stos gałązek wyrzuconych z gniazda i znowu odnowiły się wspomnienia dzieciństwa i żal do żony. Wtem ujrzał ulubioną swoją widlastą gałązkę. Na jej widok nie mógł biedaczek powstrzymać się. Sfrunął, uchwycił ją w dziobek i dalej z nią do gniazdka. Namozolił się niemało, zanim zdołał ją wciągnąć przez drzwiczki, i wkońcu włożył ją pod pierzaste wysłanie. Trwało to może pół minuty. Uszczęśliwiony siadł teraz na deseczce i, czyszcząc sobie piórka, zaśpiewał kilka razy od początku do końca kanarkowe trele.

Wkrótce pojawiła się Białka z pęczkiem ślicznych białych piórek w dziobku i oboje wykończyli niemi gniazdko.

W dwa dni potem zobaczyłem w gniazdku jedno jajeczko. Ptaszki nie bały się mnie wcale, tylko przyglądały mi się ciekawie.

Trzeciego dnia usłyszałem jednak jakiś wielki niepokój w domku wróblim. Jakieś przyciszone lecz kłótlive głosy, połączone z trzepotaniem; coraz to ukazywał się ogonek jednego z ptasząt poza wejściem do gniazdka, to znowu widać było całą postać Białki, która po chwili jakby została wciągnięta do domku. Wreszcie po długim szamotaniu się z czemś, co ciągle trzymało ją przy drzwiczkach, wyfrunęła, niosąc w dziobku ową nieszczęsną widlastą gałązkę, którą widać wykryła pod miękkim posłaniem. Widocznie, ta gałązka była przyczyną ich nowej



kłótni, w której musiał Grzmocik ulec, bo inaczej gałązka nie mogłaby się wydostać poza drzwi. Lecz przy tem szamotaniu Białka wyciągnęła z gałązką niechcący i jajeczko, które upadło na ziemię, rozbijając się na drobne części. Nie zauważyły zapewne ptaszki tej straty, bo z chwilą gdy takie jajeczko wypada z gniazda, znika ono jednocześnie i z całego świata.

IV.

Od tego dnia upłynęło dla wróbelków kilka dni zupełnego spokoju. W gniazdku pojawiało się jajko za jajkiem, a po tygodniu było ich już pięć. Grzmocik i Białka zdawali się żyć w jak najlepszem szczęściu: ona siedziała na jajeczkach, a on śpiewał, wprowadzając w zachwyt sąsiednich mieszkańców.

Wtedy przyszło mi na myśl wypłatać figla tej mądrej parce. Wyszukawszy więc odpowiednią chwilę, włożyłem do gniazdku kawałeczek białego marmuru. Nie wiem, jakie to zrobiło wrażenie na ptaszkach, ale scena, jaka odegrała się na drugi dzień, dała mi dużo do myślenia.

Była to niedziela, i rano panowała wszędzie zupełna cisza; lecz gdy wyszedłem, zastanowił mnie jakiś dziwny hałas i ujrzałem gromadę ludzi, gapiących się na ziemię. Gdy się zbliżyłem, usłyszałem urywany pisk i spostrzegłem dwa bijące się wróble. Nie zwracając wcale uwagi na

otaczających, szamotały się one zajadle i wrywały sobie pióra. Chwilami przysiadaly na ogonkach, ledwie dysząc i patrzyły na siebie złowrogo.



W tej chwili poznałem w bijącej się parze Grzmotka i Białkę. Trochę mnie to zmartwiło, gdyż zapewne mój marmur był przyczyną ich zacieklej walki. Ludzie zaczęli się rozchodzić, a jeden z przechodniów rozpędził wróbelki i te pofruły na dach, gdzie w dalszym ciągu wiodły między sobą bójkę. Poszedłem zobaczyć, co zaszło w gnieździe i rzeczywiście znalazłem pod słupem leżący kawałeczek marmuru, a obok niego skorupki wszystkich

pięciu jajeczek, które prawdopodobnie Białka wyrzuciła razem z twardym zimnym kamieniem.

W jaki sposób przyszły ptaszki znowu do porozumienia, nie wiem, widziałem je jednak po kilku dniach razem w zupełnej zgodzie. Uważając zapewne ów drewniany domek za źródło swych nieszczęść i niepowodzeń, przeniosły się gdzie indziej. Teraz Białka wybrała sobie osobliwe miejsce — mianowicie w górnej części ulicznej latarni elektrycznej.



Cały tydzień pracowały ptaszki niezmordowanie i choć często wiatr przeszkadzał im w robocie — ukończyły szczęśliwie gniazdko i zamieszkały w niem, pomimo że raził je mocno blask znajdującej się pod niemi latarni. Białka wydawała się szczęśliwą, a Grzmocik nauczył się już znosić wszystkie grymasy swej żonki.

I byłoby wszystko szło dobrze, gdyby nie zużyły się węgle w latarni. Przyszedł człowiek, pociągnął latarnię na dół i uważał za stosowne gniazdko wyrzucić do rynsztoka.

Wróbelki patrzyły zdumione na całą tę niszczącą robotę człowieka. Toż cała ich praca została znowu w jednej chwili zniweczona!

Inne ptaszki byłyby może zniechęciły się całkowicie do wspólnego życia po tylu nieudanych próbach, ale energja i nadzieje wróbelków nie mają granic. Po krótkiej więc chwili rozpacz zaczęły rozglądać się za nowem miejscem. Białka uszczknęła z porzuconego przez człowieka gniazdko słomę, usiadła z nią w kącie dwóch konarów wiązu w sąsiednim ogrodzie, i Grzmocik zrozumiał, że tu ma być założone ich nowe mieszkanie.

Nie sprzeciwiał się jej zupełnie, gdyż wiedział dobrze, czem kończą się zwykle jego próby oporu, i, wydawszy kilka kanarkowych trel na zgodę, poleciał na poszukiwanie nowego materiału budowlanego. Gdy zaś wzrok jego padł na jakie ładne drewnienko, zamykał oczy, by nie ulec pokusie i starał się patrzeć gdzie indziej.

V.

W drugiej stronie placu, na którym żyli Grzmocik z Białką, znajdowało się gniazdko innej pary wróbli, wogóle nie lubianej głównie z przyczyny samczyka, który był wielkim zawadżką. Duży, silny, z czarnym śliniaczkiem, znany był wszystkim jako rabuś. W świecie wróblim zdaje się przeważać siła nad prawem. A powody do kłótni są rozliczne: sprawy pożywienia, miłości, mieszkania, materiałów budowlanych i t. p., podobnie jak w świecie ludzkim.



Ten śmiały zawadżka, zdobywszy siłą żonkę, wybrał sobie najlepsze miejsce na gniazdo, do którego budowy ściągał materiał zewsząd, gdzie tylko wydawał mu się najlepszym, a nawet zabierał go z gniazd towarzyszków, o ile mu się podobał. Był zaś tak silny i śmiały, że wszyscy bali się go i z niemą rozpaczą patrzyli na te ciągle rabunki. Nawet kilka piórek rajskich, które pochodziły prawdopodobnie z ogrodu zoologicznego, przewędrowywały z gniazda do gniazda, aż wreszcie stały się stałą ozdobą gniazdka tej nowej parki rabusiowej. Mieściło się ono

nad marmurowym słupem wielkiego domu bankowego.

Mały rabuś czuł się panem całego placu, tak dalece, że gdy pewnego dnia usłyszał śpiew Grzmotka na niedalekim wiązcie, pofrunął zaraz ku niemu. Wprawdzie wróbelek nasz był kiedyś postrachem dla kanarków, ale wobec tego przeciwnika nie czuł się na siłach, wolał więc zemknąć. Tamten jednak poleciał za nim aż do gniazdka, i tu, spostrzegłszy kilka piórek, zamierzał je sobie zaraz przywłaszczyć.

Grzmocik, choć miał zamiar poddać się, nie mógł jednak darować takiego rabunku i napadł na napastnika z całą siłą. Z gałązki sfrunęli na ziemię i tu zaczęła się bójka. Zleciały się wróble z rozmaitych stron i odrazu przyłączyły się do walki — ale o hańbo! — pomagały wszystkie grubemu rabusiowi przeciw Grzmotkowi, którego widać uważały ciągle za obcego, wskutek jego śpiewu kanarkowego.

Biedny wróbelek bronił się jak mógł, ale trudno dać radę takiej gromadzie i byłby zapewne zginął, gdyby nie nadbiegła Białka i krzyząc „czirip, czirip, ualap, ualap“, rzuciła się zjadła na napastników, dziobała ich i biła skrzydłami. Wróbelki, widząc, że to nie żarty, uciekły, pozostał tylko sam rabuś; wkrótce i on, spostrzegłszy, że jest opuszczony przez towarzyszków, stracił odwagę i chciał zmykać do siebie. Tymczasem Białka uczepiła się dziobkiem jego ogo-



Białka ucepila się dziobkiem ogona rabusia i wyrwała mu parę piór.

na i póty nie puściła, póki nie wyrwała mu parę piór, z którymi odleciała do swego gniazda.

Choć trudno przypuszczać, aby wśród wróbli istniało jakieś wysoko rozwinięte poczucie sprawiedliwości, jednak muszą panować u nich pewne prawa. Bo oto wkrótce dwa piórka rajskie, które niedawno stanowiły ozdobę gniazda rabusia, obecnie, po zwycięstwie Białki, leżały w jej gnieździe i nikt nie śmiał jej tego odebrać.



Było to już pod koniec lata i rzadko gdzie można było znaleźć piórka. To też Białka ogromnie się nalatała, by wypełnić nimi gniazdko, ale wszystko było jej za mało. Wreszcie wpadł jej w oczy nowy a wygodny materiał. Przefruwając pewne-

go dnia przez plac dorożkarski, spostrzegła leżące na ziemi długie włosie z ogona końskiego. Bardzo się jej to podobało: sprowadziwszy męża, zaczęli oboje znosić zdobycz do gniazdzka.

Białka widziała już raz gniazdko zrobione z takiego włosia. Należało ono do maleńkiego amerykańskiego ptaszka, który rzeczywiście wyścieła gniazdo swe włosiem; robi on z włosia pyszny materac w ten sposób, że wyklada nim wewnętrzne ściany, oprowadzając włos wokół, o ile tylko starczy. Wygląda to bardzo ładnie i prosto, ale naturalnie należy znać sposób roboty; dobrzeby więc zrobiła nasza parka, gdyby

się wpierv tego nauczyła, zanim się wzięła do zbierania materiału.

Przedewszystkiem tamte ptaszki biorą włos ostrożnie za jeden koniec, gdyż inaczej, ten napozór niewinny materiał może się stać niebezpiecznym. Nasze wróble nie wiedziały tego i obchodziły się z włosem tak jak z cienkiem źdźbłem słomy. Gdy więc włos był za długi, brała go Białka w kilku miejscach, zwijając tym sposobem w kółka, które zachodziły nieraz na jej główkę. Było to bardzo wygodne, ale czy bezpieczne?

Nastał wreszcie dzień wykończenia gniazda i Białka dała znak swemu towarzyszowi, że już więcej włosów nie potrzeba, sama zaś weszła do gniazda, by jeszcze staranniej włosień w niem ułożyć. Grzmocik siadł tymczasem na słupie telefonicznym i zaśpiewawszy kilka razy swe trele, oddał się marzeniom i wspomnieniom przeszłości.

Naraz ocknął się, zdawało mu się, że słyszy jakiś lękliwy pisk „czirip, czirip“ z gniazda. Pofrunął natychmiast i ujrzał żonkę swą, jak skakała z gniazdka na gałązkę i zpowrotem, ciągle w jednym kierunku i odległości, nie mogąc się dalej poruszyć. Biedna Białka włożyła główkę w jedno z kółek włosieniowych i tak się w niem



zaplątała, że w żaden sposób nie mogła się wydobyć. Piszcziała więc przeraźliwie i skakała, ale tym sposobem coraz bardziej zaciskało się na jej szyi to przypadkowe sidło.

Grzmocik, który przywiązał się już bardzo do swej wojowniczej żonki, trzepotał się przerażony wokoło niej, nie wiedząc, co począć. Próbował dziobkiem wyciągnąć ją za nóżkę, ale tem pogorszał tylko położenie. Wszelkie wysiłki okazały się bezowocne, porobiło się tylko więcej węzłów na włosie, który skracał się coraz bardziej, a pętelka zaciskała się wokoło szyi małej wróblicy coraz mocniej. Przytem poplątały się i inne nitki włosieniowe, tak że Białka zupełnie poruszać się nie mogła, wreszcie zawisła w powietrzu.

Biedny Grzmocik patrzył na to bezradny.



Wprawdzie na jego rozpaczliwy świergot przyleciały inne wróble z parku, ale również nie poradzić nie potrafiły, fruwały tylko przerażone, a potem, widząc, że biedna Białka wisi bez ruchu, odleciały do swoich spraw.

Grzmocik pozostał sam. Chwilami skakał na gałązce, żałośnie piszcząc, chwilami zaś sie-

dział bez ruchu, wreszcie unosił się nad wiszącą ukochaną istotką i starał się czułymi dźwiękami pobudzić ją do życia.

Dużo chwil upłynęło, zanim biedny wróbel zrozumiał, że jego mała towarzyszka nie żyje. Noc przespał na gałązce, a rano znowu zajrzał do gniazda i usiłował zachęcić żonkę do objęcia codziennych zajęć.

Po długich próbach odleciał smutny, zostawiwszy swą mądrą Białkę niemą i zimną, zawieszoną na zdradnem włosiu.

VI.

Grzmocik nie był nigdy prawdziwym wróblem. Wychowanie, jakie odebrał od kanarków w klatce, nie dało mu podstaw życia samodzielnego, to też nie zawsze umiał przystosować się do zwyczajów ulicznych. Teraz zmartwienie pozbawiło go nawet zmysłu ostrożnościowego, tak niezbędnego na ulicy.

Gdy więc pewnego dnia poszukiwał upuszczonych przez konie ziarn owsa, nadjechał listonosz na rowerze i zanim wróbelek posłyszał go, dostał się pod koło, które złamało mu jedno skrzydełko. Rower poleciał dalej, a biedny Grzmocik dopiero teraz zorjentował się w swem nieszczęściu. Piszcząc żałośnie i kulejąc, zdołał

zaledwie dotrzeć do pierwszych drzew parku, gdzie skrył się między liście.

Żaloszny jego pisk posłyszała mała dziewczynka, i idąc za głosem, odnalazła go i schwyciła. Przyniosła wróbelka do domu, wsadziła go do klatki i starannie pielęgnowała. Po kilku dniach Grzmocik wyzdrowiał i ku wielkiemu zdziwieniu swej małej pani zaśpiewał jak kanarek.

Gdy się to powtórzyło kilka razy, wszyscy domowi zostali tem mocno poruszeni, a wkońcu podano tę dziwną wiadomość do gazet. Zdarzyło się, że właśnie gazeta ta dostała się do rąk owego felczera, który odrazu poznał w opisywanym ptaku swą własność. Poszedł więc po swego wychowanka, który znowu znalazł się w swej dawnej klatce, gdzie się wychował i gdzie przeżył szczęśliwe dzieciństwo.

Właściwie nie był on ptakiem przyzwyczajonym do wolności, i naprawdę nie było dla niego szczęściem, że się wówczas wydostał na swobodę. Całe życie jego z Białką było tylko szeregiem nieszczęść i niepowodzeń. Wypadek dał mu wolność, ale też i różne przygody; wypadek też sprowadził go napowrót do klatki.

Wkrótce Grzmocik powrócił do dawnej swej roli i żyjąc w spokoju i bez wzruszeń, rozwijał swe muzykalne zdolności, klatka bowiem była dla niego jakby szkołą muzyczną, pod kierunkiem dawnej parki kanarków, to jest jego rodziców przybranych. Czas spędzał wróbelk po-

dobnie jak kanarki: skakał z pręcika na pręcik, dziobał ziarenka i od czasu do czasu wyśpiewywał.

Czasami jednak zastać go można przy dziwnej robocie: oto wyfruwa z klatki i powraca z małemi patyczkami w dziobku, a gdy nazbiera ich dość dużo, próbuje ułożyć z nich gniazdko w kącie klatki; w chwilę potem robi zawstydzoną minę, jakby w czemś zawinił i rozrzuca gniazdko. Jeśli znajdzie piórka, znosi je także do klatki, ale po chwili wyrzuca je na ziemię.

To dziwne zachowanie Grzmocika nasunęło jego właścicielowi myśl, że tęskni za samiczką; wpuszczał ich kilka pokolei, ale żadna nie podobała się wróbelkowi, tak że musiano je wyjmować, aby nie dopuścić do gwałtownego zajścia, które mogłoby się nawet zakończyć śmiercią samiczki. Widać nie nęciła naszego wróbelka żadna nowa miłość, a śpiew jego zakrawał bardziej na pieśń wojenną niż miłosną. Najbardziej pobudzał go do śpiewu widok innego wróbla, zwłaszcza dużego i grubego z czarnym śliniaczkiem, który czasem przelatywał koło klatki.

Zauważył to felczer i wstawiał mu niekiedy do klatki wróbla wypchanego, zupełnie do tamtego podobnego, z którym ten zaraz rozpoczynał zajadłą walkę.

Ale wogóle wydawało się, że Grzmocika w klatce nic bardziej od jego śpiewu nie ob-

chodziło, i choć nie odznaczał się, jak wiemy, wielkim talentem, oddał się całkowicie sztuce, zapominając o wszelkich rozkoszach świata i bólach życia. Wydawał się całkiem szczęśliwy i klatki swej już do końca życia chyba nie opuści.

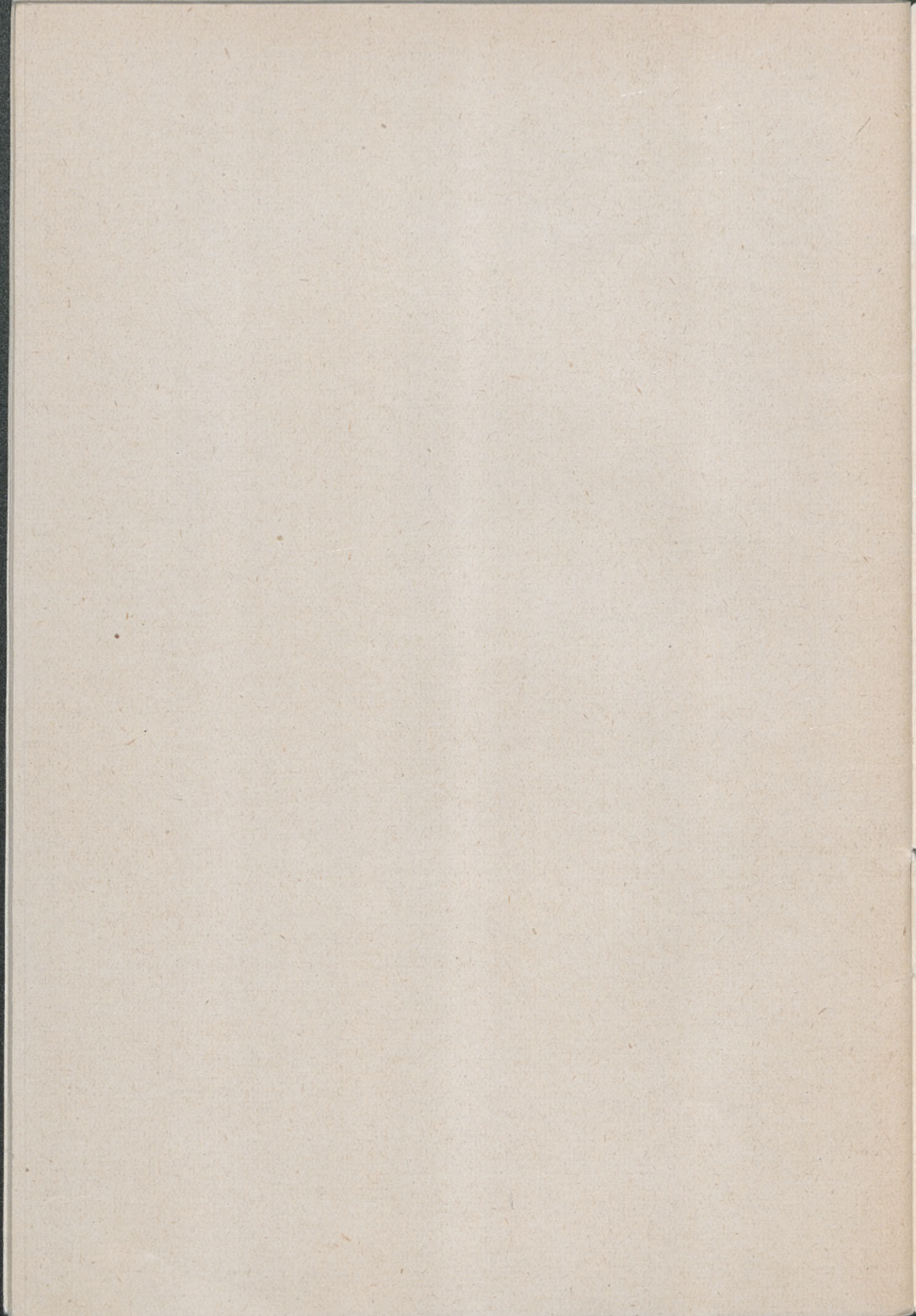


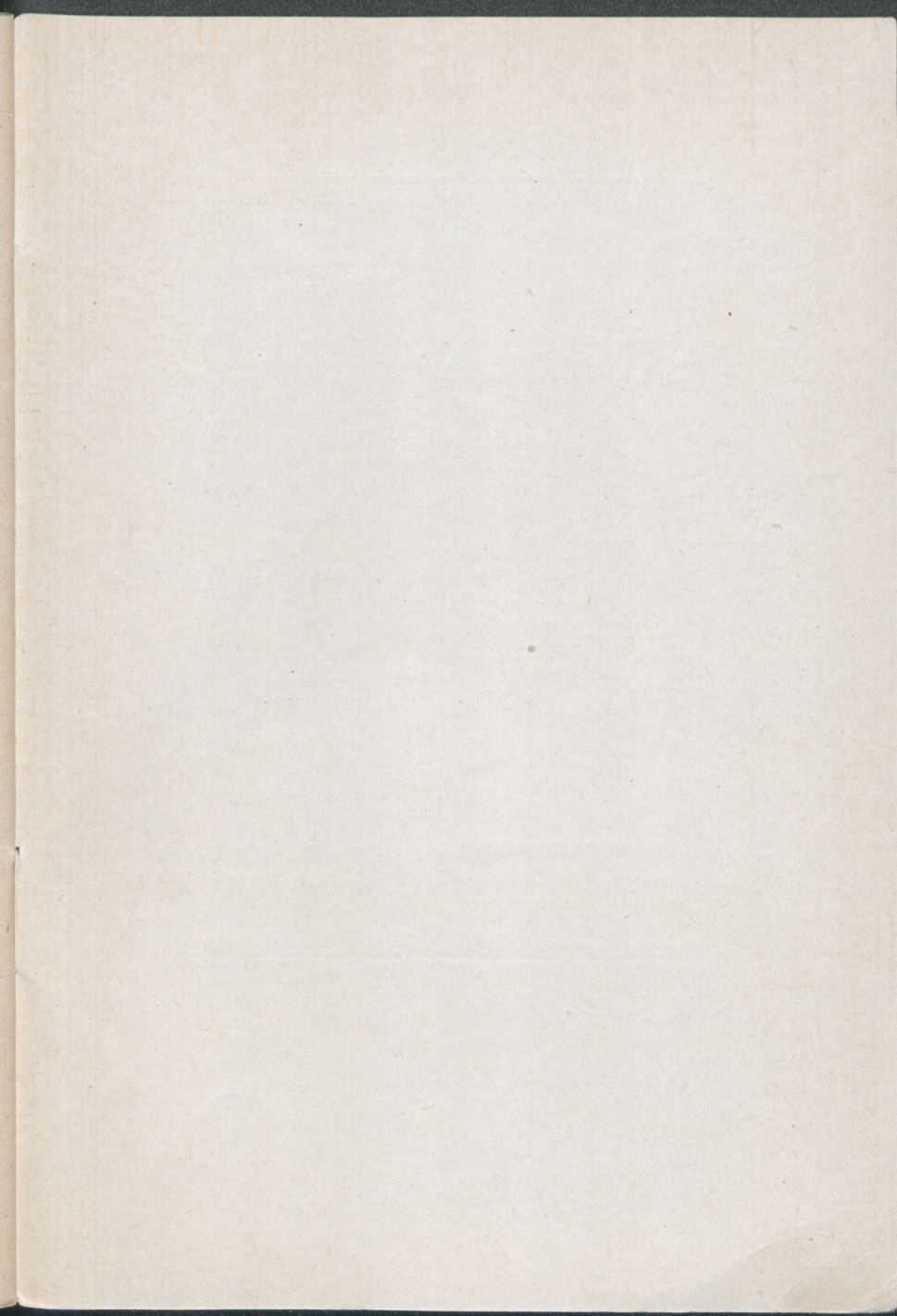
2011/31

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021772939





2011
24 LUT. 1931

MOJE **TYGODNIK**
PISEMKO **OBRAZKOWY**
DLA DZIECI

pod redakcją
MARJI BUYNO-ARCTOWEJ

z dodatkiem dla małych dzieci p. t.
MAŁE PISEMKO

„MOJE PISEMKO” kosztuje wraz z przesyłką pocztową
rocznie zł. 14.—, kwartalnie zł. 3.50, miesięcznie zł. 1.20
